OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM

EXPRESS
WIECZORNY ILUSTROWANY.

NADZWYCZAJNE WYDANIE ŚWIĄTECZNE.

ROK V. | ŁÓDŹ, PONIEDZIAŁEK, 18 KWIETNIA 1927 R. | CENA NUMERU 20 GROSZY. | NR. 107

Jak aresztowano morderców ś. p. prezydenta Cynarskiego.

Zbrodnia dokonana została z pobudek zemsty osobistej.

Mordercy zamierzali początkowo zabić vice-prezydenta Groszkowskiego.

W dniu wczorajszym w wydanym przez „Republikę" dodatku nadzwyczajnym, donosiliśmy o schwytaniu sprawców skrytobójczego mordu, dokonanym na osobie ś. p. prezydencie Marjanie Cynarskim.

O aresztowaniu zbrodniarzy dowiadujemy się następujących szczegółów:

Ze względu na to, iż ś. p. prezydent Cynarski w momencie dokonania na niego napadu zawołał: „złodzieje!", jak również ze względu i na ślady, pozostawione przez morderców prezydenta na drzwiach sklepu Kutnera — policja podejrzewała o dokonanie przestępstwa włamywaczy.

W związku z pierwszem dochodzeniem policyjnem,

zostało aresztowanych około 40 włamywaczy,

których podano konfrontacji ze świadkami. Ci jednak kategorycznie oświadczyli, iż w zatrzymanych nie mogą rozpoznać osobników, którzy bezpośrednio po dokonanym mordzie na osobie prezydenta Cynarskiego — wybiegli z bramy domu przy ul. Andrzeja 4.

W toku dalszego dochodzenia policja śledcza doszła do wniosku iż mord mógł być dokonanym z pobudek osobistej zemsty — przez zredukowanych robotników, wobec czego śledztwo zostało prowadzona w tym kierunku.

Po energicznym dochodzeniu, policja zebrała materjał silnie obciążający zredukowanego robotnika brukarskiego,

25-letniego Adama Walaszka, zamieszkałego przy ul. Bałucki Rynek 5.

Morderca pił wódkę

W dniu wczorajszym o godzinie 4 rano naczelnik Wayer, z kieownikiem Lustostańskim i 3 wywiadowcami udali się taksówką do mieszkania Adama Walaszaka.

Gdy policja z rewolwerami w dłoniach wkroczyła do jego mieszkania, zostano tam podejrzanego o mord — Walaszaka **w towarzystwie 3 kolegów, z którymi pił wódkę.**

Po przeprowadzonej rewizji w mieszkaniu Walaszka, policja nie znalazła jego palta w którem dokonał mordu.

Ze względu na to, iż Walaszek nie **mógł wykazać swego alibi, jak również i nato że żona jego na widok wkraczającej do mieszkania policji poczęła bronić męża, mówiąc, iż nie on zamordował ś. p. prezydenta Cynarskiego, chociaż policja nie mówiła jej, o co mąż jest podejrzany, Walaszak został aresztowany i doprowadzony do 3 komisarjatu policji.**

W toku dochodzenia Walaszek przyznał się do dokonania mordu na osobie ś. p. prezyudenta Cynarskiego przyczem vyjaśnił

iż mordu dokonał razem z przyjacielem swym 21-letnim Kazimierzem Rydzewskim za mieszkałym przy ul. Włocławskiej 15.

Drugi zbrodniarz spał

Gdy policja wkroczyła do mieszkania Rydzewskiego, została go śpiącego w łóżku, wobec czego nie trudno było ubezwładnić go i okucić w kajdany.

Obydwóch morderców przewieziono samochodami do gmachu Urzędu Śledczego, gdzie zostali zbadany w obecności prokuratora Szmidta, podprokuratora kameralnego Krychowskiego, sędziego śledczego Zalcberga, komendanta policji na m. Łódź podinspektora Niedzielskiego, zastępcy jego nadkomisarza Izydorczyka, naczelnika Urzędu Śledczego komisarza Weyera i kierownika I brygady policji śledczej aspiranta Lutostańskiego

Co zeznał Walaszek

W toku badania Walaszek zeznał, iż dnia 29 kwietnia 1926 roku począł pracować jako robotnik przy miejskich robotach brukarskich i dnia 11 września ub. roku został zredukowany.

Do dnia wczorajszego nigdzie nie pracował, przyczem kilkakrotnie zwracał się do magistratu po pracę, lecz zawsze mu odmawiano.

Po dłuższych staraniach **udało mu się dostać do wiceprezydenta Groszkowskiego, lecz i tutaj spotkał się z odmową, wobec czego postanowił się zemścić na wiceprezydencie i zamordować go przy pierwszej sposobności.**

Po dłuższym namyśle postanowił udać się jeszcze z prośbą o przyjęcie go do pracy do prezydenta Cynarskiego, lecz nie został doń dopuszczony.

Dnia 13 kwietnia, dowiedziawszy się o której godzinie ś. p. prezydent Cynarski wychodzi z domu, Walaszek czekał na niego w klatce schodowej.

W chwili, gdy ś. p. prezydent schodził ze schodów, zwrócił się do niego z prośbą o posadę, wskazując na ciężki swój stan materjalny.

Gdy prezydent oświadczył mu, iż nic nie może dla niego zrobić, Walaszek słownie go znieważył, przyczem zagroził mu, iż się zemści.

Wówczas to w umyśle Walaszka zrodziła się myśl zamordowania prezydenta.

Tegoż dnia **wieczorem**, powracając zdenerwowany do domu, spotkał na ulicy przyjaciela swego 21-letniego Kazimierza Rydzewskiego, któremu zwierzył się iż zamierza zamordować prezydenta Cynarskiego.

Rydzewski przyznał mu słuszność i zaofiarował swe usługi przy wykonaniu aktu zemsty.

Za ostatnie pieniądze Walaszek **kupił w sklepie przy ul. Nowomiejskiej 15, należącym do Gruna, długi i wąski nóż kucharski za który zapłacił zł. 4.50 gr.** poczem razem z Rydzewskim udali się do domu przy ul. Andrzeja 4.

Jak dokonano mordu

Podczas oczekiwania prezydenta w klatce schodowej, Rydzewski począł przyniesionym ze sobą łomem, którym zamierzał zamordować prezydenta, podważać szkobel od drzwi sklepu z materjałami piśmiennemi, należącego do Kutnera, usiłując dokonać kradzieży.

Walaszek — **wskutek oczekiwania na prezydenta, popadł w rozdrażnienie nerwowe, wobec czego zakomunikował Rydzewskiemu, iż niema dość odwagi do popełnienia mordu.**

Wówczas Rydzewski począł go przekonywać, przyczem radził mu być spokojnieszym i nie tracić zimnej krwi, o ile chce dokonać aktu zemsty.

W międzyczasie — koło ukrytych zbrodniarzy za drzwiami, oddzielającemi klatkę schodową od drzwi Kutnera — przeszedł jakiś uczeń i wyszedł na ulicę.

W tymże momencie Rydzewski, ujrzawszy, schodzącego ze schodów ś. p. prezydenta Cynarskiego, szepnął Waleszkowi „szykuj się", poczem, wyskoczywszy z ukrycia,

rzucił się na prezydenta i schwycił go za prawą rękę, uniemożliwając mu w ten sposób wyjęcie broni z kieszeni

Na widok jego prezydent zawołał „złodzieje", usiłując wyrwać dłoń z rąk napastnika, lecz

w tymże momencie doskoczył do niego Walaszek i wbił mu nóż w brzuch aż po rękojeść.

Gdy prezydent zalany krwią upadł w klace schodowej, mordercy rzucili się do ucieczki, przyczem Walaszek wybiegłszy z bramy **omało nie został przejechany przez samochód, którym jechał p. Scheibler.**

Ucieczka

Walaszek, wmieszawszy się z tłumem przechodniów, udał się na posesję przy ul. Piotrkowskiej 93, gdzie ukrył w śmietniku swe palto, zbroczone krwią, poczem, przedostawszy się przez niski parkan, dostał się na podwórze przy ul. Piotrkowskiej nr. 91. **Przeskoczywszy przez parkan, dostał się do ogrodu, przez który przeszedł, poczem znowu wdrapawszy się na płot, przedostał się** na Al. Kościuszki, skąd **spokojnie już udał się do domu, gdzie powiadomił żonę, że zabił prezydenta Cynarskiego za to, że nie chciał go przyjąć do pracy.**

Badany Rydzewski **potwierdził zeznania, złożone przez Walaszka, oświadczając, iż po ucieczce z bramy domu przy ul. Andrzeja 4 pobiegł przez Aleje Kościuszki, gdzie zatrzymał go policjant, pytając się, dlaczego tak szybko biegnie.**

Gdy odpowiedział, iż matka jego jest ciężko chora, i biegnie teraz do apteki po lekarstwo, policjantpuścił go, poczem spokojnie udał się na dalszy obchód patrolowy.

Podczas dodatkowego badania Walaszek zeznał, iż nóż, którym zamordował ś. p. prezydenta Cynarskiego, wrzucił do ogólnej ubikacji na posesji przy ul. Zawiszy 5.

Policji udało się odnaleźć w śmietniku przy ul. Piotrkowskiej 93 palto Walaszka, zaś w ustępie na podwórzu przy ul. Zawiszy 5, nóż, którym prezydent Cynarski został zamordowany.

Jak stwierdzono, Rydzewski był w w swoim czasie skazany na 6 miesięcy więzienia za usiłowanie zabójstwa w lesie łagiewnickim.

Na wniosek prokuratora Szmidta, śledztwo przeciwko obydwum mordercom prowadzone jest w trybie doraźnym, wobec czego grozi im kara śmierci.

Dziś o godz. 4 pogrzeb

Dziś o godzinie 4-ej po południu kondukt żałobny wyjdzie z kościoła Św. Krzyża, kierując się ulicą Piotrkowską na Plac Wolności i zatrzyma się przed gmachem magistratu, gdzie imieniem magistratu wygłosi przemówienie p. wiceprezydent Wojewódzki.

Po przemówieniach kondukt skieruje się przez ul. Konstantynowską na cmentarz, gdzie nad grobem imieniem rady miejskiej wygłosi przemówienie prezez dr. B. Fichna i imieniem pracowników miejskich dyr. J. Zalewski oraz nastąpią dalsze przemówienia.

★

W dniu dzisiejszym na znak żałoby wszystkie lampy elektrycznena **ulicy Piotrkowskiej obleczono czarną krepą.**

PORWANA



— Kochany mój, dostałam depeszę od papy!

— No i cóż pisze?

— „Nie wracaj, córko, do domu, a wszystko ci wybaczę!"...



Świąteczny humor.

—:—

Do mieszkania puka żebrak.

— Biedny, proszę pani, prosiłbym łaskawie o kawałeczek chleba... Dwa dni nic już w ustach nie miałem... Wczoraj dopiero wyszedłem z „klatki"... Siedziałem pięć lat...

— Nie rozumiem... — odpowiada właścicielka meszkania — pan chyba nie chce przez to powiedzieć, że pan siedział w klatce jako więzień?...

— Ależ!... — zaprzecza żebrak. — Jako kanarek!...

★

Kon pokłócił się z Buchem.

Buch nazwał Kona „idjotą".

Sprawa oparła się o sąd.

Sędzia stara się pogodzić poważnionych.

— Panie Kon, niech się pan przeprosi — namawia sędzia. — Niech pan zrozumie, że oskarżony, nazywając pana idjotą, nie zdawał sobie sprawy z tego, co mówi, bo znał pana wówczas dopiero od kilku dni!

★

Dwaj łodzianie rozmawiają w cukierni.

— A propos... Wie pan, wczoraj poznałem przypadkowo Habermana... Ależ pan go przedstawił w niewłaściwem świetle!... Żal mi go było poprostu!... Nosił jakiś stary kapelusz, zniszczone palto i wykrzywione buciki!. A pan mi mówił, że on jest posłusznym niewolnikiem mody!

— No, tak... Przecież Haberman ma pięć dorosłych córek!...

★

Kon wyjechał do Warszawy.

Poszedł na operetkę.

Primadonna miała głosik tak słaby i tak niewyraźną dykcję, że nie można było zrozumieć śpiewanych przez nią kupletów.

W pewnej chwili Kon nachyla się do swego sąsiada i szepce mu do ucha:

— Widzi pan — tej kobiecie powierzyłbym największą nawet tajemnicę...

★

W pewnem towarzystwie łódzkiem rozmawiano o znanej piękności na bruku łódzkim, pani S.

— Ona jest jeszcze zupełnie młoda — powiedział ktoś — ma najwyżej 30 lat.

— 30 lat?... — Pani żartuje — wtrąca się drugi. — Sama przyznała się w zeszłym roku w Berlinie do 40-tu!

— Tak... — odparł Kon. — Ale to było w Niemczech. Trzeba uwzględnić różnicę kursu.

★

Morycek ma nową zabawkę. Cały dzień bawi się z żywym kotem. Ciągnie go za ogon, kot wrzeszczy w niebogłosy.

Zdenerwowany ojciec zrywa się z krzesła:

— Morycek! Przestań ciągnąć kota za ogon!

— Kto ciągnie?... — odpowiada Morycek. — Ja ciągnę? On ciągnie! Ja się tylko trzymam!...

Powietrza, słońca i rozrywki!—

Oto czego pragnie ludność naszego miasta w dni świąteczne.

Należy uruchomić w ogrodach miejskich publiczne radjostacje odbiorcze.

Łódź, 18 kwietnia.

Nastał wreszcie okres

ciepła i słońca,

okres kwiatów i zieleni, kiedy

ogrody i parki miejskie

roją się od tłumu spacerowiczów, żądnych lepszego powietrza, niż w murach domów, i spragnionych choć jakiejkolwiek

rozrywki.

O powietrzu w naszych ogrodach, (zwłaszcza w parku Sienkiewicza!)

mówić nie będziemy,

jego „gęstość" znamy bowiem aż nadto dobrze — natomiast nasuwa się kwestja jak i czy należałoby

urozmaicić

ludności chwilowy pobyt w miejscach, przeznaczonych do spaceru, zwlaszcza

w dni świąteczne.

Ani kino, ani teatr w ogrodach założone być

nie mogą,

natomiast nie ulega wątpliwości, że ludność chętnie powitałaby

muzykę —

koncerty i solowe produkcje artystyczne.

Wprawdzie w kilku ogródkach łódzkich odbywają się latem

koncerty,

ale są one dostępne jedynie tylko dla tych, którzy

opłacają bilet wejścia,

lub też coś konsumują.

Inni zmuszeni są

słuchać muzyki pod parkanem ogródka,

a jak bardzo są tej muzyki spragnieni, świadczy fakt, że w czasie tych koncertów na ulicy zbiera się zwykle

olbrzymi tłum ludzi.

Tak dzieje się każdego lata

na ulicy Traugutta,

gdzie tłumy przechodniów zatrzymują się pod parkanem, słuchając muzyki

z Grand - Ogródka.

Za dawnych czasów urozmaicały przechodniom czas w parkach i ogrodach

orkiestry wojskowe.

Dziś zwyczaj ten wyszedł już z mody.

Zdawałoby się więc, że nie można znaleźć wyjścia z tej sytuacji.

A jednak

tak nie jest.

Trzeba tylko

trochę dobrej woli

i inicjatywy ze strony miasta, a będziemy mogli z powodzeniem zastosować to, co już

dawno zagranicą zostało przyjęte,

a mianowicie —

publiczne radjokoncerty.

Rzeczą ani zbyt kosztowną, ani zbyt trudną byłoby zainstalowanie

w parku Sienkiewicza, Staszica i Poniatowskiego

aparatów odbiorczych, połączonych z głośnikami, bądź też gigantofonami, któreby można było — jeżeli już

nie kupić,

to na okres letni bodaj wypożyczyć.

Instalacja taka istnieje już w Miejskiej Galerji Sztuki, gdzie podobno

żywej duszy niema,

tembardziej więc nikogo nie będzie latem, należałoby więc już zawczasu

głośnik przenieść do ogrodu,

gdzie tłumy ludzi posłuchałyby z przyjemnością koncertu.

Realizacja powyższego projektu miałaby

wiele dobrych stron,

bowiem poza miłą rozrywką, przyczyniłaby się znakomicie do

popularyzacji radjofonji

i urabiałaby jaknajszersze masy pod względem

tak u nas zaniedbanej

kultury muzycznej.

Czasu jest mało, albowiem chwilowe niepogody są tylko

okresem przejściowym

i wkrótce całe miasto wylegnie tłumnie

do ogrodów i parków,

by zaczerpnąć świeżego powietrza.

Niechże więc ojcowie miasta

raczą się nad tem zastanowić,

by publiczne radjostacje można było uruchomić już w najbliższym czasie!



— Czem mogę służyć?...

— Pan będzie łaskaw utlenić włosy, poczernić brwi, zgolić wąsy, wykrajać odciski, ostrzyc głowę, zmniejszyć nos, wymanikirować paznokcie i zrobić masaż.

Królowa kucharek angielskich

Róża Lewis, zarabia 36,000 złotych dziennie.

Ale za to dobrze gotuje i garnków nie tłucze.

Obecna właścicielka wspaniałego hotelu londyńskiego pod firmą Cavendish, pani Róża Lewis jest genjuszem kucharstwa. Rozpoczęła ona karjerę, jako zwyczajna kucharka w domu jednego z książąt krwi francuskich, mieszkającego na wygnaniu w Londynie; a dziś szczycić się może znajomością z najwybitniejszemi osobistościami Anglji, ceniącemi w niej mistrzostwo w zakresie sporządzania potraw.

Zasady pani Lewis są dość oryginalne; powiada ona mianowicie, że kuchnia francuska wkłada w potrawy tyle zachodów, tak je przerabia, że ew gruncie rzeczy nigdy nie można wiedzieć, co się właściwie je: wprawdzie nazwa głosi pasztet z kury, ale nikt z jedzących go nie pozna.

Tymczasem powinno się robić poprostu to, co się zamierzyło lub na co odebrało się zamówienie.

Temu właśnie uproszczeniu potraw zawdzięcza „królowa" swą sławę. Bo cały arystokratyczny Londyn dowiedział się szybko, co za świetne obiady wydaje ów książę, a jego kucharka otrzymała mnóstwo propozycji do objęcia odpowiedniej posady w najlepszych domach londyńskich.

Dziś zna ona osobiście króla Anglji, a wybitni pisarze i politycy są jej przyjaciółmi i nieraz odwiedzają panią Lewis w kuchni hotelowej, by trochę pogawędzić. Początkowo przyjmowała ona pracę na stałe, lecz gdy zamówienia napływać zaczęły masami, pani Róża podejmowała się gotowania tylko czasami.

Mimo to jednak miała ona i ma stale bardzo wiele roboty, musi też wstawać już o 6 rano.

Ale bo ta królowa kucharstwa sama kupuje wszystkie produkty, sama piecze chleb, bułeczki i paszteciki, sama skrobie kartofle, czyści jarzyny, choć naogół kucharki zajęcie to uważają za niegodne siebie.

A wszystko podawane jest prosto, bez specjalnych upiększeń, które pani Lewis uważa za niewłaściwe i głupie.

Z czasem, gdy zamówień było już tak wiele, że sama podołać nie mogła, Róża Lewis wyszkoliła sobie świetny personel, a sama objęła jedynie kierownictwo.

Zdarzało się nieraz, że jednego dnia sporządziła ona 4 wystawne obiady i 6 kolacji; nie każdy podołałby tylu obowiązkom, ale Lewis nigdy nikomu nie odmawiała swych usług, a klijentela jej zawsze należała do najwyższych sfer w Londynie.

Dzięki temu zarabiała ona do 800 funtów dziennie (36 tysięcy złotych!); tyle zarabiając mogła sobie kupić ów wspaniały hotel. W nim urządzała ona przyjęcia, na które stawiali się najwybitniejsi dygnitarze, a każdy z obecnych rad był niezmiernie, gdy sama pani domu podała jakąś wyszukaną potrawę i nawiązała krótką rozmowę.

I dziś jeszcze pani Lewis, choć jest osobą bogatą, chętnie podejmuje się przyrządzania u znajomych obiadu czy kolacji; zasłynęła szczególnie podczas wojny.

Odpowiedzialność fryzjera

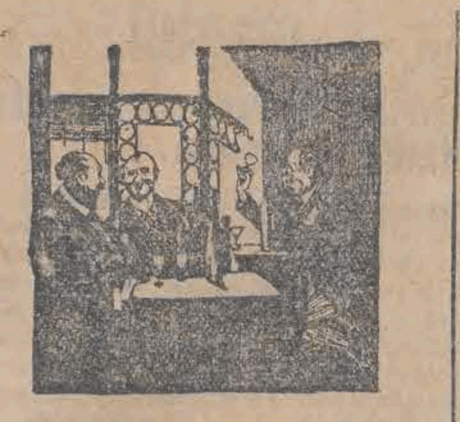
za zeszpecenie klijentki.

Sąd w Dublinie rozpatrywał ciekawą sprawę, w której miał zadecydować, czy fryzjer jest odpowiedzialny za takie ostrzyżenie kobiety, które ją zeszpeciło.

Powódka utrzymywała, że wskutek braku znajomości rzeczy, fryzjer oszpecił ją do tego stopnia, że narzeczony z nią zerwał, a inni mężczyźni parskali śmiechem na jej widok.

Fryzjer na dowód swojej fachowości przytoczył przykłady, że podczas rewolucji w Irlandji niejednokrotnie przefarbowywał jej bohaterów, a nawet raz z obecnego prezydenta wolnego państwa irlandzkiego Cosgrave'a zrobił na poczekaniu z blondyna bruneta. Klijentka jego zażądała, ażeby ją ostrzygł a potem utlenił jej włosy. Nie jego jest winą, że kanarkowe włosy nie pasują do ziemistej cery powódki.

Poszkodowana zeznała jednak pod przysięgą, że fryzjer doradził jej utlenienie włosów. Na zasadzie tego sąd przyznał jej odszkodowanie w sumie 18 funtów.



— Czy kąpiele pana rzeczywiście pomagają?..

— Mówię panu, że przed 8-iu dniami przyniesiono tu pacjenta na noszach, a wczoraj uciekł, nie zapłaciwszy rachunku w hotelu...

Pikantne tajemnice pokoju hotelowego

zdradziła elegancka torebka damska.

Dwa procesy rozwodowe, o których cała Łódź mówić będzie.

Łódź, 17 kwietnia.

Do jednego z hoteli łódzkich zawitała przed kilku dniami elegancka para. Była już godzina dwunasta w nocy.

— Proszę o pokój — rzekł mężczyzna w średnim wieku.

Portjer rzucił wzrokiem na stojącą opodal niewiastę. Gość w lot zrozumiał, o co się rozchodzi.

— Nie obawiaj się pan — to moja żona. Zgubiliśmy

klucze do mieszkania,

musimy więc przespać się w hotelu. Oto mój paszport...

Portjer zajrzawszy do paszportu rozpogodził się w zupełności.

Przeczytał nazwisko jednego z bardziej znanych

przemysłowców

w naszem mieście: No, jeżeli taki mówi, że żona — to żona. Żadnych obaw niema.

Z wyszukaną usłużnością załatwił gościa, dając mu obszerny pokoj na pierwszym piętrze.

Małżeństwo opuściło hotel o godzinie 9-ej rano. Przemysłowiec na odchodnem wsunął portjerowi

pięć złotych do ręki.

Po niejakim czasie do portjerni przybyła pokojówka i wręczyła portjerowi dużą,

elegancką torebkę damską.

— To ci państwo, którzy przed chwilą wyszli, zostawili tę torebkę w numerze...

— Aha... Dobrze... Wiem, kto to jest więc mu się odeśle.

W porze obiadowej portjer wynotował z książki telefonicznej

adres przemysłowca

i, spodziewając się od szczodrego gościa sutego napiwku, postanowił sam odnieść zgubę.

Przemysłowca nie zastał w domu.

A prędko przyjdzie?..

— Niewiadomo — za godzinę, a może i za dwie...

— To może mógłbym się zobaczyć z panią...

— W jakiej sprawie?..

—Proszę powiedzieć, że to portjer z hotelu przyniósł pozostawioną w numerze torebkę.

Pani wyszła po chwili na kurytarz, obejrzała torebkę ze wszystkich stron i rzekła:

— Nie, to musi być omyłka... To nie jest moja torebka ,a zresztą

nie byłam wczoraj w żadnym hotelu.

Mój mąż także nie, bo dziś nad ranem wrócił dopiero z Poznania.

— Ależ — próbował zaoponować portjer...

— Nie, stanowczo nie — przerwała pani, zamierzając wyjść z kurytarza.

W tej jednak chwili drzwi się otworzyły i do mieszkania wszedł mężczyzna. Spojrzał na portjera, na torebkę i mocno się

stropił.

— Aha, jednak ja mam rację — zawołał uradowanym głosem portjer, poczem skłonił się nisko.

— O co się rozchodzi? — rzekł drżącym nieco głosem przemysłowiec.

— Przyniosłem właśnie torebkę, którą pańska

żona zostawiła ubiegłej nocy w hotelu...

— Tak, tak... Dobrze... Dajcie... Możecie już iść...

Wszystko wyszło, naturalnie, na jaw. Żona miała najoczywistrzy dowód

zdrady swego męża,

który zresztą przyznał się do wszystkiego. Prosił o przebaczenie. Trudno — raz się zdarzyło. Wracał z dworca i jakaś tam — nie pamięta już nawet jak wyglądała — zaczepiła go.

Żonie, która jest osobą, niepozbawioną sprytu, cała ta historja z przypadkowem spotkaniem wydała się mocno podejrzana. Czyż „te", włóczące się w nocy po ulicach mają takie eleganckie torebki.

Wiedziona instynktem, a może zwykłą ciekawością, zajrzała do torebki. Znalazła tam liścik adresowany do pani X., żony hurtownika, mieszkającego w śródmieściu, a pisany przez jej wiarołomnego męża.

Sprawa przedstawiała się już teraz zupełnie wyraźnie. Jak wynikało z owego listu kochankowie wyjechali razem do Poznania i razem przyjechali ubiegłej nocy do Łodzi.

— — — — — — — —

Mąż pani X. został o wszystkiem powiadomiony. W związku z tem należy się w najbliższym czasie spodziewać

dwóch procesów rozwodowych,

które staną się dla Łodzi istną kopalnią lokalnych sensacyjek.

Wykrycie afery

fałszywemi przekazami pocztowymi.

Białystok, 18 kwietnia.

Naczelnik urzędu pocztowego w Białymstoku p. Nowicki, zatrzymał w urzędzie poczt. osobnika, który usiłował podnieść gotówkę na podstawie fałszowanych przekazów pieniężnych.

Zawiadomiona o tem policja zaaresztowała oszusta, który wylegitymował się dowodem osobistym na nazwisko Feliksa Rokosza.

Przy rewizji osobistej znaleziono przy nim również inne sfałszowane dowody osobiste na różne nazwiska.

Dochodzenie ustaliło, że w ciągu 2 lat osobnik ten grasował po całej Polsce, odbierając w różnych urzędach pocztowych kwoty pieniężne na podstawie fałszywych przekazów.

Oszust ten miał wspólników, jednak że ze względu na toczące się jeszcze dochodzenie nie możemy podać dalszych szczegółów tej afery.

Prenumerata W Łodzi zł. 4.00 miesięcznie.—Zamiejscowa 5 zł. miesięcznie.—Zagranicą 7 złotych miesięcznie.— Odnoszenie do domów 40 groszy

Redakcja i Administracja, Piotrkowska 49.
Telefony redakcji 27-24, 36-43, 36-44
Telefon administracji 22-14 — — — —

Ogłoszenia: ZWYCZAJNE 8 gr za wiersz milimetrowy (na stronie 10 szpalt). W TEKŚCIE: 40 groszy za wiersz milimetrowy (na stronie 4 szpalty) Zaręczynowe i zaślubin. po tekście 10 zł Zamiejscowe o 50 proc Zagr. o 100 proc drożej. Za terminowy druk ogłoszeń administr. nie odpowiada Drobne 10 gr. Poszuk pracy 5 gr. Najmn. 50 gr. Ogłoszenia kolorowe (minimalna wielkość ćwierć strony) 100 procent drożej.

Godziny przyjęć redakcji 6—7 po poł. Rękopisów niezamówionych nie zwraca się — — —

Za wydawnictwo „Republika" Sp. z ogr. odp. Władysław Polak. W drukarni „Republiki" Łódź, Piotrkowska 49 115 Redaktor odpow. Józef Burman.

Dowcipy z przed stu lat.

Z czego śmieli się ludzie w roku 1824?

Dziś—nawet końby się nie uśmiechnął.

Dzisiaj, w dobie teatrzyków i licznych pism humorystycznych, ciekawe byłoby spojrzeć wstecz i zobaczyć jakie były źródła humoru w Warszawie przed stu laty. Oto wyjątki z najpopularniejszego wówczas pisma humorystycznego „Momus'a, redagowanego przez Alojzego Żółkowskiego.

⁂

Wolność druku jest ulubioną istotą, bo aż ją ściskają.

DONIESIENIA.

Odmiana mieszkania.

Rozum przeniósł swoje mieszkanie do kieszeni, gdzie spodziewa się lepszej wygody i większej reputacji niż w dawnem mieszkaniu.

PODRÓŻ.

Pewien jegomość dobrze słaby, wybierając się do Powązek, chciałby dostać towarzysza na połowę kosztów podróżnych.

⁂

Pewien jegomość dosyć na Warszawę zakrawa, bo ma Bagatele w głowie, Fawory u panów a Czyste w kieszeni.

⁂

Gdy inne stolice burzą się Warszawa zachowuje się spokojnie, bo ma w sobie „sza".

⁂

Kobiety tak lubią szale, tak się szalami szeroko obwijają, że wkrótce oszaleją.

⁂

Wszyscy ludzie są równi sobie, bo każdy ma dwa łokcie.

ODWET.

Był na Podlasiu szlachcic nazwiskiem Monsiorowski. Jakiś pan Gąsiorowski zaadresował mu list: „A Monsie Monsie Monsiorowski". Szlachcic, który zawsze odbierał listy W. J. M. Panu etc. etc. rozumiał, że chciano z niego żartować na odwet więc zaadresował do niego list „A Gąsie, Gąsie Gąsiorowski".

⁂

Onegday znaleziono w ogrodzie słowo honoru i dwa przyrzeczenia, wszystko połamane, ale zawsze piękne: ktoby w tym udowodnił własność swoją, niech śpiesznie po to przybywa, bo ciężko słowa dotrzymać.

NAGROBKI.

Pijakowi:
Łyknął
Krzyknął
Przewrócił oczyma
I już go niema

Literatowi:
Tak to bywa zapłata
Niejednego literata:
Po śmierci mu wszyscy kadzą
A za życia jeść nie dadzą.

⁂

Osobliwie Kraków jest urządzony, bo jego Przedmieście jest w Warszawie, a on sam pod Karpatami.

⁂

W Warszawie w lecie jest tylko jedna ulica chłodna, a w zimie wszystkie.

⁂

Pisma periodyczne podobne są do delitżansów. One, muszą wyjść na swój czas: czy mają podróżnych, czy nie mają, czyli są miejsca zajęte, czyli też próżne.

⁂

Niektórzy księgarze w swoich bibljotekach są jak Eunuchy w Seraju.

⁂

Herb Warszawy jest półpostny, bo Syrena od połowy jest ryba.

⁂

Zobaczywszy ktoś w bibljotece księgę z napisem „Ciceronis Operae" przyznał ze wstydem że nie wiedział, by Cycero i opery pisał.

⁂

W miesiącu lutym ludzie najmniej jedzą! (bo ma najmniej dni).

Sztuczna nafta i węgiel.

Doniosły wynalazek, umożliwiający racjonalną eksploatację węgla.

Od dwu lat, we Francji i w Niemczech, a w pewnym stopniu we Włoszech i w Hiszpanji, zajmowali się uczeni, dyskretnie ale konsekwentnie, zagadnieniem nafty syntetycznej. Zamiarem i marzeniem poszukiwaczy było rozwiązanie zagadnienia: fabrykować naftę u siebie, bez potrzeby sprowadzania jej z Ameryki lub Persji. Bergus w Niemczech, Audibert we Francji, każdy według odmiennej metody, dokonali jednak swego zadania.

Już przed kilku miesiącami opisaliśmy cudowne skutki, jakie osiągnął p. Audibert, komprymując gaz świetlny i wodór, skutkiem czego z kurka przy katalizatorze, wypływała ropa naftowa zupełnie podobna do tej, jaka wydobywa się ze studzien w Siedmiogrodzie.

Od tej pory udoskonalono już tę metodę, a niebawem zapewne przejdzie rzecz z dziedziny laboratorjów do użytku przemysłowego. Od dnia dzisiejszego, wytworzenie miljona kalorji kosztuje 18 franków w złocie.

Natomiast wartość sprzedażna takiej że ilości, nafty naturalnej, a importowanej do Francji, kosztuje 44 franki złote. Obecnie zatem, rozporządza się ilością dostateczną do pracy i wystarczającą na amortyzację instalacji przemysłowej.

Jednakże, jak to często się zdarza, a o tem właśnie zamierzam dziś mówić, jeden wynalazek rodzi drugi. W poszukiwaniu gazu, odpowiedniejszego do fabrykacji nafty, a więc gazu bardziej ściśnionego i podatniejszego, aniżeli gaz zwykły, jakim się posługujemy do użytku codziennego, doszedł nasz uczony do stwierdzenia stanowczego, że nie umiemy, we Francji, obchodzić się z naszym węglem w sposób właściwy.

Rzeczywiście, znamy tylko dwa sposoby robienia użytku z tego cennego środka pierwotnego. Albo zamieniamy go poprostu na popiół i dym, albo też (jest to już postęp, ale sięgający czasów Drugiego Cesarstwa), rozgrzewając nasz węgiel do 1.100 stopni, otrzymujemy zeń koks, albo gaz. Jest to mało, a dziś przechodzimy do przekonania, że można to robić w sposób daleko lepszy.

Doświadczenie pouczyło, że tona jakiegokolwiek gatunku węgla, nawet najniższego, nawet w drobnych kawałkach lub w miale, wydać może 750 kilo doskonałego antracytu, 75 metrów kubicznych zgęszczonego gazu i 120 kilo amoły.

Ażeby otrzymać ten skutek nadzwyczajny, nie trzeba było, jakby to można przypuszczać, odkrycia przewrotowego, a obalającego wszelkie dotychczasowe sposoby dystylacji. Trzeba tylko było dystylować węgiel w temperaturze niższej, bo tylko 500 stopniowej, nie 1.100

Tym sposobem, dzięki specjalnemu urządzeniu pieca udało się stwierdzić, że najpośledniejszy nasz węgiel z północy Francji, zawierał w sobie zarodki antracytu angielskiego.

Należy sobie zdać sprawę z doniosłości tego odkrycia, do którego pośrednio doprowadziło poszukiwanie nafty syntetycznej. Od tej pory nie istnieją już żadne przeszkody, we Francji, do fabrykowania antracytu, czyli, innemi słowy, do uniknięcia importu rocznego za półtora miljarda franków. Antracytu można dostarczyć każdemu za cenę o wiele niższą.

Nafta i antacyt, oto cudowna zdobycz podwójna nauki, zwiastująca w każdym razie niezwykły postęp, w stosunku do metod ekonomicznych wielkich polityków z przeszłego stulecia.

Czarująca idylla włoskiej tancerki z „Fra Diavolem".

Kochanka rycerskiego zbója zamknęła na zawsze powieki.

W zapadłej wiosce w apenińskich górach umarła słynna przed 60 laty tancerka włoska, Luiga Demora.

Znakomita ongiś prymabalerina przeżyła 87 lat i była kohaterką głośnego romansu, który dał temat kilku autorom do napisania sensacyjnych powieści.

Zgórą pół wieku temu Luigia Demora odbywała podróż z Medjolanu do Florencji.

Były to czasy, gdy podróżowało się jeszcze dyliżansami.

W jednym z przesmyków górskich pomiędzy Bracchią i Pistoją napadli na pojazd bandyci, a widząc piękną i młodą kobietę, pojmali ją i odprowadzili do swego komendanta.

Herszt zbójców nosił romantyczny pseudonim „Fra Diavolo" i był postrachem całej prowincji.

Skoro ujrzał zatrwożoną kobietę, zrozumiał natychmiast, że nie pozyska jej groźbami i terorem. Stał się więc grzecznym i wytwornym.

Fra Diavolo wywarł wrażenie na tancerce, był bowiem bardzo urodziwy. Nie ociągała się przeto, lecz została jego kochanką.

Kilka dni minęło jak sen.

Luigia zrezygnowała nawet z występów w teatrze, tak drogim stał się jej herszt zbójców.

Niedługo jednak trwała sielanka.

W pobliżu ozwały się strzały. Żandarmi wykryli kryjówkę Fra Diavola i zasypywali ją gęstym ogniem.

I w takiej chwili kochanek umiał okazać się rycerskim.

Kazał swym podkomendnym wyprowadzić Luigię w bezpieczne miejsce i uściskawszy ją czule, przyrzekł, iż wkrótce zawita do Florencji.

Minęło kilka tygodni. Za kulisami teatru Pergola zebrało się grono wielbicieli w garderobie Demory.

Naraz zapukał nieznajomy nikomu przybysz.

Tancerka omal nie zemdlała ze wzruszenia. Był to bowiem „Fra Diavolo".

Prymabalerina opanowała się jednak i powitała gościa jako dawnego znajomego którego nie widziała o dkilku lat.

Po przedstawieniu herszt bandytów odprowadził do domu damę swego serca.

W kilka dni potem doniosły dzienniki, iż „Fra Diavolo" został schwytany we Florencji i stracony wyrokiem sadu doraźnego. Znakomita tancerka zrozumiała, iż ona właśnie stała się przyczyną jego zguby.

Opuściła scenę, przywdziała żałobę i osiedliła się w tych stronach, w których przeżyła czarującą idyllę z ukochanym. Tam też zamknęła na zawsze powieki.

PIERRE BALDAGUE.

Czek

—:—

— Ależ, moja droga, — krzyknęła, przestępując próg salonu Paulina, do swojej przyjaciółki Marsell, ja ciebie nie rozumiem!

Jesteś młoda, śliczna, i tak bogata, a zamiast cieszyć się życiem, tryskać humorem, masz tak nieszczęśliwą minę. Przyszłam ci powinszować z okazji urodzin salon twój zamieniony jest w wspaniały egzotyczny ogród, dom cały kąpie się w słońcu, w radości, a ty jesteś smutna!

Słyszałam, że dostałaś od męża dziesięć tysięcy franków — to majątek przecież, a ty się dasasz ho, ho zdaje się płakałaś nawet! Fi don. Marsell!

Marsell uśmiechnęła się lekko, oczy zaszły jej mgłą.

— Przyznaje ci słuszność, droga przyjaciółko. Ale widzisz szczęście jest kruche, nie polega ono na podarunku dziesięciu tysięcy franków, ale na czemś zupełnie innem, co się żadną sumą wyrazić nie da! Przedstawię ci życie moje w kilku obrazach, a zrozumiesz wówczas powód tego niby nieuzasadnionego smutku.

Dziesięć lat temu pobrałam się z moim Pawłem. Nie mieliśmy razem ani jednego centa. Paweł był urzędnikiem bankowym i zarabiał dwa tysiące franków rocznie;

Żeby jako tako móc związać koniec z końcem, udzielałam lekcji muzyki.

Pewnego dnia gdy wróciłam zmęczona do domu, Paweł oczekiwał mnie we drzwiach, schwycił w swoje objęcia i obcałowując mnie calusieńką, ofiarował mi bukiecik fijołków, kupionych za dziesięć sous.

Były to pierwsze moje „urodziny" po ślubie. Przyciągnął mnie do siebie i rzekł:

— Biedna moja dziewczynko, kiedy będę mógł ofiarować ci prawdziwy brylant?

— Twój bukiecik za 10 sous jest mi droższy niż wszystkie brylanty na świecie, — odpowiedziałam — albowiem byłam ogromnie szczęśliwa.

Po kilku latach wyjechałam z Pawłem do Argentyny. Znalazł tam dla swoich projektów duże kapitały i dzięki różnym spekulacjom w ciągu dwóch lat zarobił trzy miljony franków.

Nastał dzień „prawdziwych brylantów".

W dniu moich urodzin Paweł kupił mi dużą kolję brylantową, którą nieraz podziwiałaś. Byłam jeszcze szczęśliwa. Ale mimo to nie było tej radości, co wówczas, gdy mi ofiarował bukiecik fijołków. Wówczas przepraszał mnie za skromny podarunek, a teraz był dumny z siebie.

Jesteśmy znowu w Paryżu...

Mąż mój Paweł Sudain jest znanym finansistą, który prowadzi rozległe interesy, z którym się liczy cała Francja.

Ciągłe konferencje, posiedzenia, narady, oczywiście nie mogę mu już towarzyszyć, staję się przez to samotna.

Jeśli wieczorami wyjeżdżamy razem siedzimy mocno przytuleni do siebie, ale myślami tak dalecy, oddaleni o tysiące mil.

Pewnego dnia słyszałam jak mąż mój telefonował do kuśnierza.

— Żona moja życzy sobie futro, nie pamiętam dokładnie sobole czy gronostajów, niech pan przyśle jedno i drugie. Ale nich pan pamięta, bo jutro są jej urodziny.

Widzisz więc moja droga, mąż mój już nawet nie osobiście, ale telefonicznie zamawia podarunek dla mnie.

— No wiesz, moja droga twoje sobole są przecież bajeczne! — wtrąciła przyjaciółka.

Minął rok.. ciągnęła dalej Marsell.

— Pewnego dnia Paweł pospiesznym krokiem wszedł do pokoju, nie zamykając nawet za sobą drzwi, pocałował mnie i rzekł:

— Winszuję ci, dziecko drogie, w dniu urodzin, ale proszę mi wybaczyć, że nic ci kupić nie mogłem, jestem tak bardzo zajęty, masz ten portfel i kup, czego sama sobie życzysz.

I odszedł...

Papierki były śliczne, pięć tysiącfrankowych banknotów pięć skrawków bezdusznego papieru.

A dziś ostatnie moje urodziny...

W zeszłym roku dał mi pieniądze, przynajmniej sam je trzymał, sam włożył do portfelu, były jeszcze jakieś ślady po nim, ale dziś moja droga Paulino!

Przechodziłam przypadkowo przez kurytarz obok drzwi jego gabinetu, które były otwarte, i on wybiegł do mnie.

— Dziś są twoje urodziny Marsell, ale jestem tak bardzo zajęty tą koleją w Albanji, że każda sekunda jest dla mnie droga. Weź to i kup sobie co uważasz...

Wielki finansista wyjął czekową książkę napisał liczbę 10.000 franków, wepchnął mi czek do ręki i wrócił do gabinetu, gdzie czekała nań rozmowa telefoniczna.

Czek! Droga Paulino, czek dla kochanej żony!

Ja pójdę sama odebrać pieniądze! Taki sam czek, jaki się daje szewcowi, krawcowi — to straszne!

Boże, tak bardzo pragnę otrzymać tylko bukiecik fijołków za dziesięć sous...